

Kirył Bułyczow - Zostaw to, chłopcze!

Matka odprowadziła Wiaczesława na lotnisko i zachowywała się przy tym nader przyzwoicie. Wiaczik lękał się nie łez, nie słów pełnych troski i niepokoju, lecz wskazówek, których nie udzieliła mu w domu i mogła udzielić tutaj, w przytomności grupy turystów, którzy na razie jeszcze przypatrywali się sobie nawzajem, wybierając sobie partnerów lub kumpli na czas podróży do Anglii.

Matka trzymała w ręku zwinięte w trąbkę czasopismo z obcojęzycznym tytułem, bo zawsze pamiętała o tym, aby sprawiać wrażenie kobiety rzeczowej, wykształconej i nowoczesnej. To wszystko i tak było oczywiste na pierwszy rzut oka, więc czasopismo było absolutnie zbędne, a nawet dla ogólnego obrazu szkodliwe.

Wiaczik obserwował matkę, która z kolei omiatała wzrokiem turystów, a zwłaszcza turystki, z których jedną, szczupłą szatynkę, niemal przewiercała na wylot spojrzeniem.

- Pomyślałam - rzekła matka - o tej niezwyklej wprost łatwości, z jaką w naszych czasach zawiązują się intymne stosunki w środowisku młodzieżowym. Zdarzyło mi się obserwować na południowym wybrzeżu Krymu, jak pozornie przyzwoite dziewczęta wpadają nagle w rodzaj wczasowego amoku. Nie jestem pruderyjna, ale...

Szatynka była gładko uczesana i przypominała Wiaczikowi subtelne panienki, jakie widywał na akwarelach z epoki Puszkina. Słowo "amok" zupełnie się z nią nie kojarzyło.

- Słuchasz mnie? - zapytała matka. - Nie zapomniałeś klucza? Może się przecież zdarzyć, że będę na konferencji, kiedy będziesz wracał.

To ostatnie zdanie powiedziane było zbyt głośno i obliczone na szersze audytorium. Audytorium nie zwróciło na nie najmniejszej uwagi.

Luda pracowała w bibliotece, była młodsza od Wiaczika o trzynaście lat i na początku wycieczki krępowały ją nieśmiałe hołdy składane u jej stóp przez starszego ekonomistę. Może zresztą nie same hołdy, lecz ironia, z jaką traktowało je otoczenie.

To skrepowanie sprawiało, że Luda traktowała Wiaczika sucho i oficjalnie do chwili, kiedy pewnego razu w autobusie doszło do dyskusji o książce Marqueza i Wiaczik okazał się sojusznikiem Ludy w tym sporze. A wkrótce Wiaczik ujawnił dwie cechy stojące na najwyższych stopniach hierarchii moralnej Ludy: był dobry i czytany. Luda przestała się na niego boczyć.

A Wiaczika opanowała niesłychana jak na niego gadatliwość. Zapragnął, aby Luda wiedziała o nim wszystko, poczynając od najwcześniejszego dzieciństwa. Nie od razu zorientował się, że stało się tak dlatego, że Luda była idealną słuchaczką, zaangażowaną i przychylną.

I nic nie zapowiadało (tak przynajmniej wydawało się Ludzie) żadnych zmian w tych spokojnych stosunkach.

Któregoś wieczoru stali oboje nad brzegiem Tamizy. W plecy patrzyli im smutni obywatele miasta Calais z jednym wielkim kluczem do bram miasta dla wszystkich - dzieło wielkiego rzeźbiarza Rodina. Tamiza była niezbyt szeroka, innej zresztą się nie spodziewali, a na przeciwległym brzegu widniały gmachy z widokówki kupionej przez Wiaczika już na lotnisku.

- Pani nie jest zamężna? - zapytał Wiaczik nieoczekiwanie dla samego siebie.

- Rozmyślałam się - odpowiedziała Luda. - To dobry człowiek, ale mamy całkowicie odmienne zainteresowania.

Wiaczik pomyślał ze smutkiem, że Luda jest jeszcze bardzo młoda i dlatego może tak kategorycznie wyrokować i tak szybko podejmować decyzje. Wraz z upływem lat życie się komplikuje.

- Chyba nie powinien pan zadawać tego pytania - powiedziała Luda.

- Dlaczego?

- Bo to jest ingerencja w moje życie osobiste. - Luda uśmiechnęła się nagle i dodała: - Proszę spojrzeć, jaki śmieszny stateczek! Okropnie staroświecki. Ja przecież nie pytałam, dlaczego pan się nie ożenił.

- Nie ma w tym żadnej tajemnicy - odparł Wiaczik, patrząc z zachwytem na jej czysty, surowy profil. - Po prostu przywykłem mieszkać z matką.

Luda obróciła się ku niemu, a jej cienkie brwi uniosły się ze zdziwienia.

- Rozumie pani, mama nie wyobraża sobie innego życia. Dawno już rozstała się z ojcem, a ja jestem jej jedynym synem, jedynym prawdziwie bliskim człowiekiem.

- A co dalej? - wyrwało się niechcący Ludzie. Nie miała zamiaru przesłuchiwać Wiaczika.

- Dalej? - Wiaczik wzruszył ramionami. - Nie wiem.

- Wie pan, co mi się wydaje? - powiedziała Luda po chwili. Pan chyba jeszcze nigdy naprawdę się nie zakochał. Kiedy to się stanie, pańska mamusia będzie musiała się z tym pogodzić.

- Wątpię - powiedział Wiaczik. - Mama nigdy się z czymś podobnym nie pogodzi.

W swą ostatnią londyńską noc Wiaczik zaczął pisać wiersze. Żeby nie obudzić Zawadowskiego, który mieszkał z nim w jednym pokoju hotelowym, Wiaczik zaszył się w łazience, gdzie siedział na brzegu wanny i łowił rymy oparty plecami o gorącą rurę. Jak na złość Zawadowski obudził się w środku nocy i rozespany wtoczył się do łazienki. Wiaczik siedział w rozpiętej piżamie, ukazując krągły brzuszek i pierś, gładko przechodzącą w krągłe ramiona. Nie od razu oprzytomniał. Jego grube palce, niczym skrzydełka sikorki osłaniającej pisklęta przed pazurami jastrzębia, trzepotały nad stroniczką notesu.

Zawadowski mimo solennych przyrzeczeń nie wytrzymał i rano podzielił się z pozostałymi członkami wycieczki swoim odkryciem. Przy obiedzie Maria Pietrowna, sędziwa dama żywiąca szczerą antypatię do Ludy, poprosiła Wiaczika o zadeklamowanie wierszy. Wiaczik uciekł zza stołu, pozostawiając nie dojedzoną galaretkę, a Luda, zorientowawszy się o co chodzi, rozplakała się i też wyszła. Zawadowskiemu zrobiło się głupio, że nie trzymał języka za zębami, a Luda odszukała Wiaczika w hotelowym barze, gdzie starszy ekonomista roztrwoniał połowę swoich dewiz na trzy szklaneczki whisky.

Ta historia zmieniła stosunek Ludy do Wiaczika. Chodziło nie tyle o sam fakt podjęcia przez niego prób poetyckich, chociaż Luda czuła się tym pochlebiona, ile o to, że Wiaczik ucierpiał i został źle potraktowany, bo ośmielił się żywić do Ludy gorące uczucie.

Wiaczik zauważył w zachowaniu Ludy litość, a mama zawsze uczyła go odrzucać to uczucie jako hańbiące. Ponieważ jednak w ciągu pozostałego tygodnia wycieczki cała grupa, z nielicznymi i zrozumiałymi wyjątkami, nabrała zwyczaju opiekania się nimi i zawsze tak jakoś wychodziło, że ładowali na sąsiednich miejscach w autobusie lub za stołem, to Wiaczik wartko płynął, prawie się nie opierając, w bystrym i rozkosznym potoku dziwnej ponadczasowości.

Spacerowali wieczorem po Liverpoolu, mieście zupełnie nie przystosowanym do romantycznych przechadzek, zamkniętym w sobie i zajętym wyłącznie własnymi sprawami - i właśnie dlatego, że nikogo w najmniejszym stopniu nie obchodzili, odczuwali wspólnotę dusz, niezwykle rzadką nawet u ludzi znających się od dawna i bardzo blisko.

I nagle Wiaczik wyczuł, że zbliża się to.

Nie był pewien, czy się nie myli, gdyż w tym momencie buszowało w nim tyle uczuć, że aż drżały mu palce. Ale objawy się zgadzały. Ten sam stan euforii, radosnego oderwania się od wszelkich trosk i niezachwianej pewności, że za minutę, godzinę, dzień, miesiąc wszystko będzie równie wspaniałe jak teraz. Albo jeszcze wspanialsze.

- Mógłbym teraz czegoś dokonać - powiedział uroczystym tonem. Luda nie odpowiedziała, ale nieoczekiwanie przystanęła. Stali przed witryną sklepu, na której węzowym ruchem wyginała się chuda dziewczyna w futrze z nurków, przyglądając się z zachwytem swoim pięknym, umiejętnie umalowanym gipsowym paluszkom. Niebo nad ulicą było zielone i

Wiaczиковi wydało się nagle, że znajdują się w wodzie, a Luda jest smutną i bezbronną rusalką.

- Wiem - powiedziała Luda. - Doskonale pana rozumiem.

- Nie, to nie o to chodzi - Wiaczikowi bardzo zależało na tym, żeby Luda dobrze go zrozumiała. - Ja nie mówię w ogóle, tylko o pewnym szczególnym uczuciu: Mama nawet chciała zaprowadzić mnie do psychiatry.

Luda uniosła brwi. Wiaczik zmieszał się i nieoczekiwanie zapytał: - Chciałaby pani mieć takie futerko?

- Nie - odparła Luda, wciąż wpatrując się w Wiaczika. W jej źrenicach odbijały się iskierki reklam. Dotknęła jego ręki, a Wiaczik zamarł, lękając się spłoszyć jej palce.

- Wiesz - powiedział bardzo cicho - to mi się zdarza, kiedy odczuwam wzlot emocjonalny. - Wiaczik drugą ręką zdjął okulary i wsunął je do górnej kieszeni marynarki. Luda cofnęła rękę.

- Czemu pan zdjął okulary? - zapytała.

- Okulary! Ach, tak... - Okulary natychmiast wróciły na miejsce.

- Bo co?

- Wyglądał pan tak, jakby chciał mnie pan pocałować.

- Cóż za pomysł! W żadnym wypadku! - pospieszył odpowiedzieć Wiaczik.

- Tak właśnie sobie pomyślałam - powiedziała surowym tonem

Wiaczik czegoś zapomniał. Coś zgubiło się w ciągu tych paru minut. to nie tylko w nim, ale i w Ludzie, która powiedziała:

- Już późno. Czas spać. Może wrócimy do hotelu?

Wiaczik powinien powiedzieć "nie", bo w pytaniu nie była determinacji chęci powrotu, ale posłusznie skinął głową i oboje ruszyli do hotelu.

- A dlaczego wspomniał pan o psychiatrze? - zapytała Luda po jakichś pięciu minutach. Wiaczik, który myślał, że Luda gniewa się na niego za to, że omal nie pocałował jej na ulicy pod sklepową wystawą, cieszył się z tego pytania.

- Mamie bardzo zależy na tym, żebym był solidnym mężczyzną powiedział. - Kiedy więc dowiedziała się, że mogą tak postępować z rzeczami, przestraszyła się, że to jest nienormalne.

Wówczas, dwa lata temu, zdał ostatni egzamin kandydacki i w dodatku była piękna pogoda. Nawet taka banalna koincydencja czasami wystarczy, żeby człowiek poczuł się szczęśliwy. Wiaczik wracał do domu i czuł, że jest wszechmocny. Pewnie mogę nawet latać - powiedział sobie, skręcając w zaułek. I nawet uniósł ręce, jakby przymierzając się do lotu, ale ręce przecięły tylko powietrze i wróciły na swoje miejsce, do boków. Nie, jednak latać nie potrafił... I wówczas zobaczył pudełko zapalek, leżące na chodniku o jakieś trzy kroki od niego. Zatrzymał się, bo jego nowa siła była w jakiś sposób związana z tym pudełeczkiem. Pudełko było białe i opatrzone czerwonym napisem "Gigant". Trzeba sprzątnąć pudełko z chodnika, zrozumiał Wiaczik, ale podejść do pudełka i pochylić się nad nim byłoby zbyt banalnie. Wówczas rozkazał pudełku, aby usunęło się z drogi. Pudełko nie usłuchało. Musiał się zatem wyteńczyć, a nawet zdjąć okulary, które przeszkadzały w rozkazywaniu. Walka z pudełkiem po zapalkach trwała około dwóch minut i przechodnie zaczęli się już ze zdziwieniem oglądać na wysokiego przygarbionego mężczyznę, który stał pośrodku chodnika ze wzrokiem wbitym w jakiś punkt przed sobą i dziwnie się przy tym kołysał. Pudełko już miało się podporządkować, ale wtedy nadbiegł z przeciwka chłopak i kopnął je czubkiem buta. Wiaczik spojrział na lecące pudełko i w tym momencie zrozumiał, że uniesiony w powietrze przedmiot znalazł się w jego władzy. Przechwycił go zatem spojrzeniem, zmienił tor lotu i zmusił do wylądowania w koszu na śmieci stojącym pod ścianą domu.

- Tak to trzeba robić - powiedział Wiaczik do chłopaka, ale chłopak go nie usłyszał.

- Mamo - powiedział po powrocie do domu - wykryłem w sobie rzadką właściwość.

- Co z egzaminem? - zapytała mama. - Już dwa razy dzwoniłam na uczelnię, ale nikt tam nie podnosi słuchawki. To niesłychane, jak ludzie potrafią lekceważyć swoje obowiązki!

- Z egzaminem jest wszystko w porządku. A co sądzisz o poruszaniu przedmiotów na odległość?

Matka pocałowała Wiaczika w czoło. Nie musiał się przy tym nawet pochylać, bo matka była od niego nieco wyższa.

- Istota twojego zawodu - powiedziała udając się do kuchni, żeby podgrzać obiad - istota ekonomii polega na umiejętności kierowania przedmiotami na odległość. Władza nad siłami wytwórczymi społeczeństwa...

- Ja mogę siłą woli poruszać przedmioty - powiedział Wiaczik. Chcesz zobaczyć?

Wciąż jeszcze nie opuszczało go uczucie radości i szczęścia, które przyspieszało rytm serca i domagało się natychmiastowego działania.

- Denerwujesz się? - zapytała matka. - Nic dziwnego. Straciłeś przecież mnóstwo energii nerwowej.

- Na ulicy zobaczyłem pudełko po zapalkach - powiedział Wiaczik. - O trzy metry ode mnie. I zmieniłem kierunek jego lotu.

- Wiaczik! - powiedziała mama. - Gdzie położyłeś elenium?

- Mamo!

- Przecież wiesz, jaką troską napawa mnie twój stan psychiczny. Właśnie zakłócenia psychiczne stały się przyczyną mojego zerwania z twoim ojcem.

Wiaczik westchnął. Ojciec, o ile Wiaczik wiedział, psychikę miał w najlepszym porządku. Poza tym miał drugą żonę, dwoje dzieci i święty spokój. Ojciec na wszystkie święta przysyłał Wiaczikowi pocztówki z życzeniami, a na urodziny prezenty. Stan szczęśliwej błogości powoli się ulatniał. Mama szukała w apteczce elenium. Wiaczik spróbował podnieść pudełko zapalek leżące na kuchence gazowej. Pudełko drgnęło, poruszyło się, ale nie uniosło do góry.

- Telekineza została potępiona przez naukę - powiedziała mama, rozdzierając opakowanie lekarstwa. - Zażyj tabletkę, to od razu ci ulży. W przeciwnym razie trzeba cię będzie zaprowadzić do psychiatry.

Wiaczik naturalnie zażył tabletkę.

- A teraz mógłby pan coś przemieścić? - zapytała Luda. Byli już hotelem.

- Nie wiem - odparł Wiaczik. - Do tego potrzebny jest specjalny nastrój.

- A teraz go nie ma?

- Taki nastrój był tam, pod sklepem.

- I co się stało?

- Nie wiem. Coś się stało.

- Tak - zgodziła się Luda. - Coś się stało.

W ciągu ostatnich paru dni nie udawało się im zostać we dwoję i słodka burza, szalejąca w piersiach Wiaczika na widok Ludy, nie znajdowała żadnego ujścia. Przed odjazdem angielscy koledzy wydali na cześć grupy pożegnalną kolację. Maria Pietrowna wygłosiła na niej dziękczynną orację, mniej więcej dwudziestominutową.

- Jutro - powiedział Wiaczik - będziemy w Moskwie.

- Tak - odparła Luda. - Cieszę się, że pana poznałam.

- Spotkamy się w Moskwie? - zapytał Wiaczik.

- Po co? Przecież to nikomu niepotrzebne...

- Jak to po co? - Ale Wiaczik nie potrafił wymyślić powodu spotkania.

Noc w pokoju, w którym mieszkał Wiaczik z Zawadowskim, minęła nader smutnie. Wiaczik siedział tam w kompletnej samotności, ukrywając się przed współtowarzyszami wycieczki, którzy wybrali się na nocny spacer po mieście, i rozmyślał o tym, iż życie może zakończyć się w trzydziestym piątym roku tegoż życia. Trwanie i przemijanie żywota zależy wszak od przypadkowych przyczyn, które składają się na ogólny model generalnego pecha.

Rano Wiaczik i Zawadowski omal nie przespali odjazdu i musieli pakować się w okropnym pośpiechu. Wiaczik miał w głowie i w piersiach tak ogromną dudniącą pustkę, że czuł się jak spragniony ziarna elewator zbożowy.

Cała grupa czekała już w autokarze, a damy powitały ich chóralnymi wyrzutami.

Miejsce obok Ludy było wolne, ale Wiaczik przykucnął obok kierowcy. Usiłował sobie przypomnieć, jak brzmi po łacinie sentencja: "Tak przemija ziemską sławą", ale sobie nie przypominał.

Dumna samotność Wiaczika została zakłócona w poczekalni, gdzie podeszła do niego Luda i oświadczyła:

- Przykro mi, że tak się stało. Przepraszam..

Luda sięgała mu ledwie do ramienia, głos jej drżał.

- Ryczałam przez całą noc - powiedziała. - W ogóle to ze mnie okropna beksa.

- Nie wiedziałem - powiedział Wiaczik cicho.

- Proszę zapisać sobie mój telefon do pracy - szepnęła Luda. Jeśli ma pan ochotę.

- Naturalnie - odparł Wiaczik. - Zadzwoń natychmiast, jak tylko wywołam zdjęcia.

Zapowiedziano ich lot.

W samolocie siedzieli obok siebie.

- Czuję się teraz znacznie lepiej - wyznała Luda, kiedy samolot kołował na pas startowy.

- Nie wiesz - powiedział Wiaczik - nie masz pojęcia, że teraz mógłbym dla ciebie zrobić wszystko.

To uczucie przepelniało go całego, uniosło się aż do gardła. Wiaczik odrzucił do tyłu głowę, żeby się nim nie zakrztusić.

Władza Wiaczika nad przedmiotami, nad całym światem rzeczy była tak ogromna, że mógłby jednym ciosem zwalić do Tamizy Opactwo Westminsterkie lub odwrócić bieg Nilu. I jak na złość pod ręką nie było ani jednego przedmiotu, którym można byłoby manipulować bez obawy, że się kogoś obrazi lub skrzywdzi.

Samolot zamarł w oczekiwaniu na sygnał startowy. Silniki huczały głucho, zbierając siły do ryku przy wzlocie. Wiaczik wyobraził sobie srebrzystą rozległość aparatu zakończoną płetwą steru wysokości. Ostrożnie chwycił za tę płetwę, uniosł samolot i zaczął obracać go wokół własnej osi.

Ktoś krzyknął z przerażenia.

Luda spojrzała na Wiaczika i spostrzegła, że jego miękka, mięsista twarz nabrała twardego wyrazu. Jego napięcie było tak wielkie, że dziewczynie zapało dech w piersi.

- Wiaczik - szepnęła, kładąc mu rękę na kolanie. - Wiaczik, nie trzeba. Wierzę panu.

Ale Wiaczik mimo wszystko obrócił samolot o trzysta sześćdziesiąt stopni, postawił na miejsce i dopiero wtedy otworzył oczy, uśmiechnął się i przykrył dłonią małą rączkę Ludy.

Start został wstrzymany do chwili zbadania, co właściwie przytrafiło się samolotowi. Luda udawała, że gniewa się na Wiaczika, chociaż była niezmiernie dumna, że to na jej cześć wyprawia takie okropne psikusy.

- Tylko błagam, nie w powietrzu! - powiedziała.

- W powietrzu na odwrót, nie pozwolę samolotowi spaść - powiedział energicznie Wiaczik.
- Ze mną można latać nawet bez silnika. Utrzymam.

- Dziękuję - szepnęła Luda.

W drodze do Moskwy Wiaczik rzeczywiście zachowywał się przyzwoicie. Pozwolił sobie tylko na małe przestępstwo: kiedy stewardesa roznosiła lemoniadę, zmusił szklaneczkę do sfrunięcia z tacy i wylądowania w rękach Ludy. Na szczęście stewardesa była bardzo zajęta i nie zwróciła na to uwagi.

- Wiaczik! - powiedziała z wyrzutem Luda. - Przecież pan mi obiecał!

Mama nie wyszła po Wiaczika na Szeriemietiewo. Prawdopodobnie siedziała na konferencji i cierpiała, rozdzielana między miłością a obowiązkiem i w swej szlachetności przekładała jednak nieco obowiązek nad miłość. Na Ludę też nikt nie czekał, więc Wiaczik, dzięki konferencji, mógł ją odwiedzić do domu, przedłużając w ten sposób minuty cichego szczęścia.

W domu mamy też nie było. Była za to kartka, wyszczególniająca niezwykle dokładnie, co jest na pierwsze, co jest na drugie, i gdzie znaleźć kompot pełniący rolę deseru. Tekst na kartce wyrażał również nadzieję, że lot upłynął normalnie i że wycieczka do Wielkiej Brytanii wzbogaciła syna intelektualnie i w ogóle dała mu wiele z poznawczego punktu widzenia. Wiaczik czytał liścik i uśmiechał się: matka bywa czasem rozczulająca. Wyjął z walizki i położył na stole żółtą angielską teczkę - prezent dla mamy, jedyny swój zagraniczny sprawunek, i ruszył do kuchni, żeby zająć się obiadem. Zaraz jednak zatrzymał się, tknięty myślą, że wykorzystując swoje zdolności może zrewolucjonizować nudny proces przyrządzania posiłku.

Przeciagnął z pokoju do kuchni fotel, postawił go koło drzwi i wygodnie się w nim usadowił. Szkoda, że nie ma Ludy, która oceniłaby to, co zamierzał przedsięwziąć. Luda ma poczucie humoru, którego tak brakuje mamie, obdarzonej za to w nadmiarze kilkoma innymi przymiotami charakteru.

Wiaczik najpierw wykonał proces myślowy, skoncentrował się i nie opuszczając fotela zmusił lodówkę do otwarcia się. Tam na drugiej półce powinien stać garnek z zupą. Postawimy go na kuchence. Nie, najpierw zapalimy gaz. Zapalanie gazu okazało się rzeczą skomplikowaną i wymagającą przećwiczenia. Po pierwsze, zapalki natychmiast się wysypały z otwartego na odległość pudełka i rozprysnęły po podłodze. Wiaczikowi nie chciało się ich zbierać, więc wybrał jedną, najładniejszą, i chyba ze dwadzieścia razy potarł nią o draszkę, zanim się zapaliła. To pochłonęło tyle energii myślowej, że Wiaczik poczuł się zmęczony i dla pokrzepienia wywołał z pamięci obraz Ludy. Wzmocniony w ten sposób, zapalił drugą zapalkę, ale okazało się, że zapomniał przekręcić kurek palnika. W następnej próbie odkręcił kurek, ale zanim udało mu się zapalić zapalkę, kuchnia do tego stopnia wypełniła się gazem, że trzeba było otworzyć lufcik.

Wreszcie gaz został zapalony, lodówka była otwarta, ale z tego miejsca, z którego Wiaczik dyrygował przedmiotami, nie było widać garnka. Przykazał przedmiotom stojącym na drugiej półce wolno ruszyć w stronę drzwiczek lodówki, ale zanim pokazał się biały bok emaliowanego garnka, na podłogę wypadł słoik ze śmietaną, dwa ogórki i na domiar złego odkorkowana butelka oleju słonecznikowego.

Cofnąwszy nogi, żeby nie stanąć w mieszaninie śmietany i oleju, płynącej wąskim strumykiem w jego stronę, Wiaczik postawił zupę na ogniu. Aha, mama kazała zagęścić zupę wermiszlem. Gdzie jest wermiszlel? Zazwyczaj stoi na górnej półce szafki zawieszanej nad kuchenką. Otwarcie drzwiczek szafki nie stanowiło żadnego problemu... A oto i biała torebka. Zręcznie manewrując torebką, Wiaczik zmusił ją do przechylenia się w locie i wysypania zawartości do garnka. Niestety dopiero wówczas spostrzegł, że wyjął z szafki nie wermiszlel, tylko sól. Trzeba było odstawić sól na miejsce, chociaż cała kuchenka wokół garnka pokryta była już białym szronem, a płomień palnika zabarwił się na żółto. Starszy ekonomista zastanawiał się przez chwilę, czy warto zagęszczać zupę, skoro i tak jest już przesolona, ale po zdrowym namyśle postanowił jednak doprowadzić sprawę do końca, odszukał w szafce

torebkę z wermiszlem, ale kiedy sypał go do zupy, to źle ocenił odległość i wermiszle znalazł się głównie na podłodze.

To niepowodzenie wcale Wiaczika nie speszyciło. Można było przecież usmażyć kotlety. Odsunął garnek z zupą, żeby zwolnić palnik, garnek omal się nie przewrócił, ale Wiaczik rozpaczliwym aktem woli utrzymał w nim resztki zupy i odstawił garnek do zlewozmywaka. Wieloskładnikowy potok oleju, śmietany i zupy posypanej surowym makaronem przepłynął już pod fotelem i długim jęzorem wypełził do przedpokoju.

Wiaczik nie wiedzieć czemu bardzo się z tego ucieszył. Aktem woli wyciągnął z lodówki talerz z kotletami, postawił go na podłodze, po czym zaczął je stamtąd rzucać na patelnię. Nie zawsze celnie. Jeden kotlet, na przykład, uderzył w ścianę i przykleił się do niej. Dwa następne spadły za kuchenkę. Za to trzy ostatnie trafiły gdzie trzeba i Wiaczik zaczął szukać w lodówce masła, żeby kotlety się nie przypaliły.

- Wiaczik! - powiedziała mama. Już od jakichś pięciu minut stała za jego plecami, ale Wiaczik zaaferowany swą radosną twórczością wcale jej nie zauważył. - Wiaczik, zostaw to, chłopcze!

- Mama! - ucieszył się Wiaczik. - Mamo, widziałaś, jak ja to robię?

- Niestety tak - odparła mama. Wśliznęła się do kuchni, starając się nie nastąpić na zmarnowany obiad i od razu nie wiadomo czemu zaczęła nożem zeszkrobywać z glazury przyklejony do niej kotlet. Natychmiast przestań bawić się jak dziecko!

- Mamo, to wszystko drobiazg - powiedział Wiaczik. - Zaraz to sprzątnę. Ale chyba już nie będziesz zaprzeczać?

- Czemu? - Istnieniu telekinezy.

- Nie, mój kochany, będę - powiedziała mama. A propos, bardzo ci dziękuję za wspaniałą teczkę. Miło mi, że czasami pomyślałeś również i o mnie.

- Dlaczego tylko czasami? - Wiaczik wyniósł fotel i chwycił za ścierkę do podłogi.

- Muszę cię przy okazji ostrzec, że popełniasz wielki błąd.

- Mamo, o czym ty mówisz?

- Dzwoniłam już do Marii Pietrowny...

- Ach, już...

Kuchnia miała godny pożałowania wygląd pomieszczenia, w którym zabawiał się młodociany chuligan. Wiaczik stwierdził to z niejakim zdziwieniem, jakby nie miał z tym nic wspólnego.

- Wzbudza we mnie najwyższe obrzydzenie ów cynizm, z którym ta osobniczka usiłowała cię omotać.

- Mamo, bądź łaskawa przestać! W końcu nie mam już dziesięciu lat...

- On nie ma już dziesięciu lat - powtórzyła mama surowym tonem i wymownym gestem wskazała nieporządek w kuchni. - On nie ma już dziesięciu lat...

- Ale czy ty nie widzisz, że ja to wszystko zrobiłem na odległość? Nie ruszając się z miejsca?

- Każde osiągnięcie rozumu ludzkiego - powiedziała mama pouczająco - ma sens jedynie w tym wypadku, jeśli może ono służyć całej ludzkości. Odnoszę wrażenie, że ona istotnie kompletnie zawróciła ci w twojej niestety zupełnie nieodpornej głowie...

- Ale przecież widziałaś na własne oczy!

- Mam nadzieję, że już nigdy nie będziesz się tym zajmował. Wiaczik machnął ręką i wyszedł z kuchni. Pomyślał ze smutkiem, że wszystkie jego kłótnie z mamą kończą się tym, że macha ręką i wychodzi.

Wszedł do pokoju, popatrzył z wrogością na teczkę rozpartą pośrodku stołu. Rozkazał jej zniknąć stamtąd, aleteczka naturalnie ani myślała usłuchać. Wiaczik przykucnął koło walizki i wyjął z niej garść kaset fotograficznych. Przecież obiecał zdjęcia Ludzie!

- Mamo! - zawołał. - Pójdę oddać błony do wywołania.

- Skąd ten pośpiech?

- Przywiozłem z Anglii osiem kaset.

- Fotografowałeś pomniki architektury?

- Wszystko. I architekturę, i ludzi...

- Tego tylko brakowało! - W dniu przyjazdu z zagranicy! Nigdzie nie pójdziesz!

Mama zawsze popierała fotograficzne hobby Wiaczika. Ale nie teraz. Miała bowiem wszelkie podstawy do przypuszczenia, że syna w danym momencie obchodzą nie tyle starożytne londyńskie budowle, ile fizjonomia tej osobniczki. A to należało przeciąć w zarodku.

- Idę - powiedział Wiaczik i natychmiast humor mu się poprawił. W buncie najtrudniejszy jest początek.

Matka nie odpowiedziała, ale jej milczenie było wymowniejsze od najgorętszej filipiki.

Na schodach Wiaczik spotkał sąsiadkę, która zamiast się przywitać, próbowała wbić się w ścianę. Wiaczik jej nie zauważył. Uśmiechał się błogo, a przed nim w powietrzu na podobieństwo stadka ptaszków leciało osiem kaset fotograficznych.